

## ELŻBIETA GRALEWSKA

ur. 1955; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, ulica Drobna, cegielnia Czechówka Górna, praca na cegielni, zabawy dziecięce, projekt Lubelskie cegielnie. Materia miasta

### Cegielnia przy ulicy Drobnej

Można było od ulicy Północnej do niej dojść i chyba tamtędy te cegły wyjeżdżały. Jak szło się na górę, część jest zachowana, to jest jakby połowa podejścia, bo było takie pod kątem prostym. Drugiej połowy nie ma, ale była takiej samej długości i potem już płasko. Najpierw były takie malutkie domki i od razu się zakręcało, ale ponieważ one stały tak naprzeciw siebie, to był taki jakby ryneczek, takie centrum, tam była u państwa Mamejów kapliczka, więc do kapliczki i w prawo, potem już prościutko po horyzont była ta Drobna, ze dwa zabudowania i już cegielnia. To tak niedaleko, zaraz z brzegu, bo te domki na zakręcie były takie nieduże, może 200 metrów tego płaskiego i się zaczynała ta część widoczna, gdzie się skończył budynek. Tam jeszcze dalej chyba były te wiaty.

Po naszej ulicy nie jeździły samochody z cegłą, bo by nawet nie dały rady. Pamiętam, że do porodu to szłam na piechotę, bo raz, nie było telefonu, a dwa, nikt by tam nie dojechał, bo to była zima stulecia w 1979 roku. Śniegu po kolana, mój mąż szedł przodem, robił mi takie ślady i ja tak za nim, na szczęście doszłam do tego szpitala i zdążyłam. Także w zimie to tam ciężko było, dla nas fajnie, bo się stanęło na butach na górze i tylko trzeba było manewrować dobrze i na dół się ładnie zjeżdżało. Ta górka taka stroma była, w zimie to taksówka nie dojeżdżała. Właśnie moja koleżanka Machaj, ta dwa dni starsza, to jej tata był taksówkarzem. Miał taksówkę numer 7, najpierw starą warszawę, a potem nową warszawę i on był taki dumny, czyścił. To była jedyna taksówka na naszej ulicy.

I tam była właśnie cegielnia, dużo miała tych budek, tych wiat. Pomiędzy wiatami były stoły, na których robiono cegły. Panowie tam pracowali i panie, ale się dziwiłam, że taka ciężka praca – te panie brały taką górę gliny i tak hop!, także krzepę musiały mieć. Nie znałam nikogo z tych pracowników. Przed nami, już nie tak daleko, kończył

się ten teren z budynkami, komin też gdzieś tam był, gdzie się to wypalało, ale to gdzieś tam w środku. Potem zaczął się dołek, czyli miejsce, z którego wybierano glinę. Tu, gdzie mieszkaliśmy, był taki spadek, a po prawej stronie jeszcze było wysoko i tam były łąki i myśmy biegali sobie. Tu po prostu było wyrobisko, przyjeżdżały koparki z takimi zębami i one od góry tak drapały, drapały, drapały i ta ziemia spadała. Ustawiano tory kolejowe pod te wagoniki i one tak szły, szły, szły do miejsca, gdzie akurat koparka pracowała. Potem ludzie to na wagoniki ładowali i pamiętam, że konik był. Konik to ciągnął, i dwóch z tyłu pchało, i tak po ileś tych wagoników. Jak nie było konia, to sami pracownicy, pchało tam po dwóch czy trzech. Jak już tu skończyli, to przenosili te tory w inne miejsce.

My bardzo lubiliśmy glinianki, gdzieś się trzeba było bawić. Tak to była tylko ta ulica, kocie łby, chodnik z takich płyt, potem trawnik i już cegielnia, także nie było tam za bardzo jak zaszaleć. Jeszcze taką zabawę pamiętam z dzieciństwa, że fajerkę się pogrzebaczem czy czymś targało, żeby nie upadła. Sanki w zimie, rower. Więc trzeba było coś robić i biegaliśmy po tych gliniankach. Ale glinianka nie w takim znaczeniu, jak w telewizji widziałam gdzieś, że w gliniance ktoś się utopił, czyli dół po glinie z wodą. Tam nie było wody, tam była normalnie ścieżka i trawa rosła, to było takie płaskie. Chyba tam mój brat z kolegami w piłkę grali albo może dalej, był taki płaski teren, co był kiedyś wykopywany, i tam był zostawiony tak jakby grzybek, na tym grzybku pan Woźniak ze swoimi kozami urzędował. Potem koło nas też był taki grzybek, bo wiem, żeśmy się tam wspinały. To taki kwadrat był, także trzeba było uważać, żeby nie spaść. Z jednej strony to robiliśmy tam sobie łopatką schody i potem się trzeba było za trawę złapać i nogi w te schody, żeby na tę górkę wejść, na ten kwadrat.

Jak koparki tę suchą ziemię zdrapywały i dzień pracy się kończył, to ta glina była taka świeżutka, więc myśmy wchodzili na górę i z tej świeżej gliny zjeżdżaliśmy w dół. Tylko to było chyba parę pięter i ściana była prosta, a na dole były tory, ale bez wagoników, bo wagoniki wracały. Jakoś nie wyobrażam sobie dzisiaj tego, ale tak było, że z tej góry myśmy – najpierw siedzieliśmy, trzymaliśmy się trawy, żeby nie spaść, i piętą tak się zdzierało tę świeżą, miękką glinę, żeby się tam taka kupka utworzyła na dole. Ale to gdzieś tam daleko, więc potem tak stopniowo robiliśmy tą piętą taki dołek pod dwie nogi i takie tory się robiły. Potem się okazywało, że tam coraz niżej to miękka była ta glina, bo dopiero świeżo ruszana. Potem już nie było traw, nie było się czego trzymać, więc trzeba było tak prosto przy ścianie, tylko nogi musiały być mocno wbite w tę glinę i tak zjeżdżaliśmy, usypując sobie ten kopiec, czyli na końcu było w co skoczyć nogami, miękko było. Czasem było tak, że nie było miękko i te tory były pod spodem, jak teraz tak o tym myślę, jeszcze matką jestem, no to szaleństwo. I rodzice nie pozwalali, ale coś trzeba było robić, a to była fajna zabawa i myśmy to na okrągło robili. Ci pracownicy nas przeganiali, ja się nie dziwię,

bo jak oni mieli te tory i wózek miał podjechać, to utrudnialiśmy życie tym panom, bo oni potem musieli te tory odkopywać. Ale fajna była zabawa.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2018-07-04, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"